



Tadeusz
Dołęga-Mostowicz
Drugie życie
Doktora Murka

Copyright © 2011, Wydawnictwo MG

ISBN: 978-83-7779-015-1

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Opracowanie redakcyjne: Baltazar

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Tadeusz
Dołęga-Mostowicz

Drugie życie
Doktora Murka



ROZDZIAŁ I

Pan Seweryn Czaban śpieszył się. Biła właśnie ósma, a punkt o ósmej miał być na obiedzie u prezesa Bolińskiego. Gotowi mu spóźnienie policzyć na karb nieznajomości form towarzyskich albo – co gorsza – lekceważenia. Tymczasem robił przecież, co mógł, by zdążyć. Ale dzisiaj właśnie wszystko się nań sprzysięгло. Nidenberg, łajdak, przyniósł zamiast solidnie obiecannej gotówki całą walizkę różnych papierów. Akcje, obligacje, weksle gwarancyjne. Obliczenie tego, sprawdzenie kursów giełdowych, targ o kupony – wszystko to musiało zająć przeszło godzinę czasu. W dodatku nad karkiem sterczała panna Wenzel, której musiał podyktować dwa listy w niezmiernie pilnych sprawach Zarządu Dóbr i Interesów książąt Zasławskich, których był plenipotentem, a szwagier, niepojętny cymbał, żądał szczegółowych instrukcji na jutrzejszą licytację huty szklanej „Bolnix”, do czego miał w imieniu Czabana stanąć.

Jak na złość żona przysłała tu też z molestacjami o auto. Chciała jechać na bal do Resursy Obywatelskiej, bo Tunka musi się tam pokazać przez wzgląd na młodego Szwowskiego. Pana Seweryna oczywiście nic to nie obchodziło, lecz nie mógł im odesłać samochodu, bo sam go potrzebował. Umówił się z paru dygnitarzami, że urządzi im dzisiejszej nocy bibę w „Krzywej Karczmie” pod Tarczynem, zamówił sobie zawczasu trzy dziewczynki z Dancing-Clubu, pod Tarczyn wysłał już szampan, homary, ostrygi i kucharza z „Oazy” i wprost z obiadu u Bolińskich miał jechać po dziewczęta.

O zmianie tych planów nie mogło być mowy.

– Pojedziesz na bal taksówką – rzucił żonie zirytowany do ostateczności jej boleściwą miną – albo nie jedźcie wcale. I nie przeszkadzaj mi, do stu diabłów!... Na czym tam skończyliśmy, panno Wenzel?...

– ...na gwarancję hipoteczną Zarząd Dóbr zgodzić się nie może – odpowiedziała sekretarka, nie podnosząc oczu znad papierów, by w ten sposób zaznaczyć swoje niezadowolenie z pryncypałowego stroju. Pomimo siwizny, długiego czerwonego nosa i okularów w cienkiej żelaznej oprawie uważała za nieprzyzwoitość ze strony szefa takie nieliczenie się z jej panieńską skromnością.

Pan Czaban w spodniach tylko, z majtającymi się z tyłu szelkami, krążył po gabinecie, dopinając oporne spinki w sztywnym gorsie koszuli. Szofer Bronisław stał przy drzwiach z frakiem w ręku, a pan Żołnasiewicz raz po raz przerywał Czabanowi dyktowanie pytaniami:

– Przepraszam cię, Sewerciu, więc ile w ostateczności mogę dać Kurnejkowskim za odstąpienie od licytacji?

– Osiem, do cholery! Osiem, mówiłem już. Ani grosza więcej. Gdybym sam mógł tam być, zgodziliby się na sześć... Niech pani pisze: Jeżeli w ciągu miesiąca nie otrzymamy od WPana rejentalnej zgody między Nim a Spółką Drzewną, będziemy zmuszeni wystąpić na drogę sądową... Tak. Z poważaniem. Teraz do Ministerstwa Rolnictwa. Powołując się na decyzję WPana Ministra z dnia... nie pamiętam... znajdzie to pani w teczce... Zarząd Dóbr itd. ma zaszczyt...

– Przepraszam cię, Sewerciu – pokornym tonem przerwał znów szwagier – a jeżeli Kurnejkowscy nie zechcą bez gotówki?

– To każ się im pocałować w ciepłe miejsce! – ryknął pan Seweryn i jednocześnie odwrócił się do żony. – Czego ty sterczysz nad moją biedną duszą! Diabli mnie wezmą! Nie zostawię auta, bo nie mogę, Bronisław! Kamizelka!

Zaterkotał telefon na biurku. Panna Wenzel podniosła słuchaw-

kę, odezwała się i po chwili powiedziała:

– Dzwoni jakaś pani do pana dyrektora. Mówi, że w osobistej sprawie.

– Halo?... Kto?... Aaa, dobry wieczór... Naturalnie, naturalnie... Tak... tak... tak...

Wszyscy przyglądali mu się z zaciekawieniem, ale ani z jego odpowiedzi, ani z wyrazu czerwonej mięsistej twarzy nie mogli wywnioskować, z kim mówi i o czym. Pani Czabanowa przyzwyczaiła się od dawna do niewypytywania męża o telefony. Bała się jego gniewu i przekleństw, których nie skąpił nikomu, ilekroć ktoś ośmielił się wtrącić do jego spraw czy interesów. Jedna Tunka umiała jako tako poradzić sobie z ojcem, ale i to nie zawsze.

Czaban skończył dyktowanie, instrukcje dla szwagra i ubieranie się jednocześnie i powiedział:

– Panno Wenzel, zabiorę panią i wysadzę w mieście przed naszym biurem. Tylko prędko. A ty, Józek, i ty – zwrócił się do szwagra i żony – uważajcie! W kasie są grube hopy. W razie jeżelibym nie wrócił przed szóstą rano, weźmiesz Józek z kasy tę walizczkę i jedź do Sosnowca. Bezpieczniej będzie zabrać w drogę Buczkowskiego. Panno Wenzel, pani go wytelefonuje, by stawił się tu punkt szósta rano. W biurze zastąpi go Markiewicz. Bronisławie, jedziemy.

Wraz z wyjściem pana Seweryna w całej willi zapanował spokój. Systematyczny pan Żołnasiewicz otworzył kasę, sprawdził zawartość walizki i zamknął ją z powrotem. Pani Czabanowa kazała nakrywać do stołu kucharce, bo pokojówka zajęta była przeszywaniem haftek w balowej sukni Tunki. Tunka leżała w pidżamie na tapczanie w holu i czytała książkę.

Pani Sewerynowa siadła przy niej i przyglądała się córce z nabożnym podziwem, aż ta poruszyła się niecierpliwie.

– O jej, mamó! Nie wlepiąże się we mnie. Wiesz, że tego nie znoszę.

– Ale ja wcale nie... Tak tylko, moje drogie dziecko.

- No to idź już! Zostaw mnie, bo to mi przeszkadza.
- Dobrze, dobrze, kochanie. Myślałam, że może czego potrzebujesz. Wiesz, że ojciec nie odeśle nam auta. Taki uparty.
- Pewno potrzebne mu. Weźmiemy taksówkę.
- Trzeba będzie posyłać Paulinkę, bo przecie na tym odludziu za żadne pieniądze się nie znajdzie. Już przyznam się, że obrzydło mi mieszkanie na końcu świata. Tyle kosztowała ta willa!... Mój Boże! Ale czy to twemu ojcu można przemówić do rozsądku?... Zakrzyczy, wydrwi, narobi hałasu...
- Oj, nudzisz mamó! – rozkapryszonym tonem zamruczała Tunka.

Pani Helena pogłaskała córkę po włosach, westchnęła i poszła do sypialni sprzątać rozrzuconą mężowską garderobę. Zawsze tak było. Kiedy jako młode małżeństwo mieszkali w odnajętym pokojczku na czwartym piętrze, kiedy w koszarach zajmowali służbowe mieszkanie oficera intendentury, kiedy mieli oficynę w Cieńczy u książąt Zasławskich, a później apartament na Wilczej, a teraz kiedy usadowili się we własnym pałacyku na Skolimowskiej, Seweryn wszystkie rzeczy doprowadzał zawsze do krańcowego nieładu, a ona musiała wiecznie sprzątać i tym więcej miała z tym roboty, im było więcej rzeczy, im byli bogatsi. Narzekała na to już z nałogu, bo prawdę powiedziawszy, bez tego zajęcia nie wiedziałyby, co z sobą zrobić. Dawniej musiała gotować, prać, cerować, prasować mężowskie ubranie, dziś odebrała to jej służba. Dawniej wolne chwile spędzała z małą córeczką lub na pogawędkach z sąsiadami, dziś córeczka wyrosła i miała własne życie, a sąsiadek nie było, bo nowa willa stała z dala od innych na krańcu miasta. Domowa służba i stary stróż, pełniący również obowiązki ogrodnika – oto wszystko. Brat, w rodzinie zwany niezdarzonym Józkiem, przygarnięty z łaski przez Seweryna, nie cieszył się sympatią rodzonej siostry. Pani Helena w głębi duszy bolała nad każdym ubraniem mężowskim, wcale jeszcze dobrym, które wędrowało do szafy Józka, bolała nad

każdym kęskiem jedzenia czy kieliszkiem drogiego koniaku, który bezpowrotnie znikał w jego wnętrznościach.

Ale cóż mogła na to poradzić! Pan Seweryn nie znoślił oszczędności, rozrzucał pieniądze na prawo i lewo, lubił żyć, lubił się pokazać, lubił rozkazywać, a rozkazywać mógł tylko tym, których uzależniał od siebie, zależność zaś polegała na nieustającym strumieniu pieniędzy płynących z jego kieszeni do kieszeni innych. Uważał się za genialnego biznesmena, za finansistę w wielkim stylu, za mistrza w interesach, i rzeczywiście dotychczasowe jego powodzenie zdawało się to potwierdzać.

– Rozrzucam pieniądze garściami – lubił mawiać – a zbieram je kosztami.

Nie wszyscy zachwycali się tym systemem Seweryna Czabana. Pani Helena nieraz od rozmaitych ludzi słyszała nie obwijane w bawełnę opinie mocno krytyczne. Byli i tacy, co radzili jej koniecznie odkładać, co się da i kryć to przed mężem, bo bankructwo nie minie go wcześniej czy później. Kto jak wariat rzuca się na najszańsze ryzyko, kto pakuje bez namysłu setki tysięcy w najbardziej wątpliwe imprezy, musi źle skończyć.

Tak poważna osobistość jak prezes Boliński mówił przecie Sewerynowi w oczy:

– Pan nie masz pojęcia o interesach, pan masz tylko szczęście.

Tak po cichu myślała i pani Helena. Przecież nieraz widziała, jak Seweryn uzależniał własną decyzję w różnych ważnych sprawach od tego, czy wyszedł mu pasjans, czy nie, lub czy w pudełku miał parzystą liczbę zapalek. Toteż, o ile się dało przed mężowskim okiem ukryć, oszczędzała na wszystkim i składała w banku. I cóż z tego, skoro po kilka razy do roku zdarzały się takie sytuacje, że mąż nie miał grosza przy duszy. Nie tylko nie dawał na utrzymanie domu, lecz pożyczał od służby, od szofera, od stróża Malcerka wszystko, co mieli. Samochód, meble, wszystko było „opisane”, na hipoteczne willi rosły krociowe zapisy, biżuteria wędrowała do

lombardu, w sklepach brało się na kredyt, no i oczywiście Seweryn przychodził i mówił krótko swoim tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Helka, potrzebuję forsy! Ile masz w banku?

Dwie minuty później miał już w kieszeni czek na całą tak pracowicie uzbieraną sumkę, a pani Helena wybierała się już na żebry pod kościół, nie polegając na wybornym humorze męża, nieoprawnego optymisty.

I nagle interes dochodził do realizacji, forsa spływała rzeką. Spłacało się długi, po knajpach i w willi na Skolimowskiej lał się szampan, Tunka wybierała sobie u jubilerów brylanty wielkości orzecha, pani Helena pociła się w Adrii w pelerynie z czarnych soboli, a orkiestry po wszystkich lokalach rżnęły całymi nocami „Ej szaraban mój, Amierikanka, a ja dziewczonka, a ja Cyganka”.

A pan Seweryn Czaban wypijał „pod tę melodię” nieskończone ilości najdroższych trunków, podejmował szeroko po kilkanaście osób różnego pokroju i autoramentu i sypał, sypał pieniądze garściami.

W rezultacie nikt, nie wyłączając pani Heleny, nie wiedział, co i ile ma pan Czaban. Kupował majątki, kamienice, całe fabryki, place, udziały w różnych przedsiębiorstwach, kupował sumy w procesach, przeprowadzał windykacje spadków, pośredniczył w grubych pożyczkach, sprzedawał, zamieniał, wydzierżawiał, grał na giełdzie, robił kokosy lub tracił na stajni wyścigowej, elektryfikował jakieś miasteczka, parcelował jakieś tereny, obracał milionowymi kwotami i żył w tym, jak w ukropie, nie chcąc, nie umiając, wprost nie mogąc odpocząć. Zdrowy i silny pomimo zbliżającej się pięćdziesiątki, potrafił trzy noce z rzędu być w drodze dla ubicia jakiegoś interesu i drugie trzy hulać, przesypiając urywkami po dwie, trzy godziny na dobę. Jedyne swoje stałe stanowisko, stanowisko plenipotenty książąt Zasławskich, traktował jako rzecz drobną i uboczną, chociaż dawała mu wcale pokaźny i stały dochód.

Ilekoć koło Tunki zaczął się kręcić jakiś odpowiedniejszy młody

człowiek, pani Helena naciskała męża:

– Przecie muszę, Sewerynie, wiedzieć, ile dasz posagu Tunce? Od tego zależy jej przyszłość.

– Powiedz, kto i ile chce – odpowiadał pan Seweryn – i na jaki termin ma być forsa, a będzie.

Sam nie lubił wchodzić w te matrymonialne projekty, chociaż córkę kochał bardzo. W jej wychowaniu też nie zabierał głosu. Postawił tylko jedną zasadę:

– Niech dziewczyna robi, co się jej podoba. Żadnych zakazów, żadnego pilnowania. W pilnowaniu można dojść do „czortików”, a dziewczyna, jeżeli zechce, to i tak się puści. Niech ma własny rozum. Głupiego i tak nie nauczysz, a mądremu nauki nie trzeba.

Pani Helena była wręcz odmiennego zdania, ale jej zdanie w tym domu nic nie znaczyło. Gdy wychodziła za Seweryna, młodzienaszka w wyświechtanym garniturku, pochodzącego nie wiadomo skąd, przystojnego wprawdzie i energicznego, lecz niewykształconego i o prostackich manierach, sądziła, że wyświadcza mu łaskę, że z wdzięczności będzie ją na rękach nosił. Bądź co bądź była córką dyrektora gimnazjum w Smoleńsku, człowieka ogólnie szanowanego i szlachcica. Poza tym miała rentę, skromną wprawdzie, ale wystarczającą na życie. A że nie tylko wykształceniem, wychowaniem i pochodzeniem przewyższała męża, bo była odeń o sześć lat starsza, przewidywała, że w małżeństwie z Sewerynem ona będzie zawsze górą. Tak też i było przez ten krótki czas, póki żył s. p. pan Żołnasiewicz i płacił rentę, ale wraz z jego śmiercią i z wyjazdem ze Smoleńska do Petersburga zmieniło się wszystko radykalnie.

Z biegiem czasu przyszła zamożność, a nawet bogactwo, lecz pani Helena nie umiała nim się cieszyć. Bała się drogich sukien, które można popłamić, porcelanowych wazonów, które tak łatwo było stłuc, kosztownych mebli i antyków, kryształów i sreber, których pełen był dom, ogromnej kasy ogniotrwałej, od której klucze lekkomyślny Seweryn zostawiał jej bratu. Bała się, że służba wyjada

różne smakołyki ze spiżarni, że pan Żołnasiewicz wypija resztki z butelek, bała się też złodziei, to też drzwi w willi były opancerzone i wzmocnione wielkimi ryglami, a okna zabezpieczone mocnymi żelaznymi okiennicami zamykanymi od wewnątrz. Codziennie wieczorem pani Helena osobiście sprawdzała, czy wszystkie okiennice są pozamykane i czy działa dzwonek alarmowy do stróżówki Malceraka, a tego dnia robiła to tym skrupulatniej, że Seweryn przed wyjściem wspomniał o „grubych hopach” znajdujących się w szafie pancernej.

W chwilach takiego strachu, z których mąż kpił zawsze, nawet na swego brata patrzyła życzliwiej. Bądź co bądź był jedynym mężczyzną w domu. Toteż gdy pomimo dwukrotnego dzwonienia do stróżówki Malcerak się nie zjawiał, pani Helena weszła do gabinetu, gdzie Żołnasiewicz wpisywał coś do ksiąg buchalteryjnych, i powiedziała:

– Mój drogi Józiu! Obawiam się, że dzwonek do Malceraka zepsuł się. Czy byś nie poszedł sprawdzić?

– Dajże, kochanie, spokój. – Żołnasiewicz się skrzywił, podciągając pod krzesło swoje długie nogi i nerwowo gładząc się po łysinie. – Jutro raniutko wyjeżdżam a roboty huk.

– Kiedy, widzisz, Józiu, ja mam jakieś złe przeczucie...

– Co drugi dzień masz złe przeczucia.

– Tak, ale patrz, już po dziesiątej, a nie słychać psów w ogrodzie.

– Bo deszcz leje, psy siedzą gdzieś w kącie.

Pani Helena stała jeszcze chwilę i nagle zawołała z gniewem:

– Żadnego pożytku z ciebie nie mamy.

I w tej chwili zgasło światło. Zgasło jednocześnie w całej willi.

– Jezus, Maria! – krzyknęła pani Helena. – Co to jest?!

– Mamo! – rozległ się z holu głos Tunki. – Światło się zepsuło.

– Nieszczęście! – jęknęła pani Helena.

– Żadne nieszczęście – zirytował się pan Żołnasiewicz – po prostu woda zalała przewody, tak jak w zeszłym tygodniu. Gdzie

są świece?

– W kredensie, ale ja tam nie pójde za żadne skarby.

– Więc daj klucze.

Pan Żołnasiewicz zapalił zapałkę i z jej pomocą dobrnął do sypialni gospodarza, gdzie na nocnym stoliku znalazł elektryczną latarkę.

– Zadzwoń najpierw do pogotowia elektrycznego – niecierpliwiła się pani Helena.

– Właśnie to chcę zrobić. Gdzieś tu na biurku musiała być ich kartka. A, jest.

Podniósł słuchawkę i trzymał ją przez chwilę przy uchu.

– Stacja się nie odzywa! – mruknął.

– Jak to się nie odzywa! Pozwól! – Wyrwała mu słuchawkę i spojrzła nań z ironią, bo właśnie rozległ się sygnał stacji. Wykręciła numer i usłyszała spokojny niski głos:

– Halo, tu Pogotowie Elektryczne.

– Proszę pana! Proszę prędzej przysłać kogoś, bo nam się znowu światło zepsuło. Dobrze?

– Ale podajże adres – powiedział pan Żołnasiewicz.

– Aha, prawda, ulica Skolimowska dwa, willa dyrektora Czabana.

– Zapisane – odpowiedział głos. – Wysyłamy elektromontera taksówką. Za kilka minut u państwa będzie.

– Chwała Bogu! – Pani Helena odetchnęła. – Jakbyśmy się po ciemku przebierały na bal? Daj mi tę latarkę. Pójde po świece. To rozpacz mieszkać na tym odludziu.

Pani Helena wyjęła świece, dała jedną do kuchni, dwie do jadalni, dwie do holu Tunce i ostatnią zaniósła bratu do gabinetu.

– Kończ prędzej – powiedziała – bo trzeba siadać do kolacji. Czy ten elektrotechnik prędko przyjedzie?... Bo moglibyśmy zatrzymać jego taksówkę. To nawet niezła myśl. Po co Paulinkę na deszcz pędzać po inną, skoro będzie ta. Jak myślisz, czy on naprawi łatwo?... Bo jeżeli tak, moglibyśmy ewentualnie z kolacją zaczekać?

Pan Żołnasiewicz, który już zdążył zabrać się do roboty, chwycił się za resztki włosów.

– Kobieto, pozwolisz mi pracować? Mnie głowa od tych liczb pęka, a ty mi z kolacją!

– Tylko nie podnoś głosu! Też!

– Zobaczysz, co ci Seweryn powie, gdy nie skończę na czas! – zagroził pan Józef.

I to poskutkowało. Pani Helena wyszła. Słyszał z daleka jej narzekania w jadalni, gdzie nakrywano do stołu, i w holu. Usiłował odczytywać pośpieszne i zagryzłone notatki szwagra, lecz przy świetle przychodziło mu to z wielką trudnością. Minęło tak może pięć czy dziesięć minut, gdy do jego uszu dobiegło kołatanie do drzwi frontowych.

– Mamo, ktoś stuka od frontu! – zawołała Tunka.

– To pewno ten monter, ale czemuż nie dzwoni?

Idiotka – pomyślał pan Żołnasiewicz – przecież dzwonki nieczynne.

Słyszał, jak pokojówka Walercia przebiegła do przedpokoju i swoim kokieterijnym głosikiem dopytywała się, kto tam, jak otwierała zasuwy i rygle.

I nagle przeszył powietrze jej ostry krzyk:

– Jezu!...

Jednocześnie zaszamotało się coś gwałtownie i czyjś męski ochryply głos wrzasnął:

– Ręce do góry! Stać, bo strzelę!

Pan Żołnasiewicz zerwał się, jednym susem dopadł drzwi, zatrzasnął je i przekreślił klucz w zamku.

Bandyci! – przemknęło mu przez głowę i w jednej sekundzie zorientował się, że pozostaje mu jedyna droga ucieczki przez sypialnię, sionkę i boczne małe drzwi, a potem przez ogród i na puste tereny przy ulicy Morskiej.

Rzucił się też w stronę sypialni, lecz nagle wstrzymał się. Przypo-

mniał sobie cenną walizeczkę zamkniętą w kasie pancernej. Właśnie otworzył ją, gdy do drzwi załomotały czyjeś pięści.

– Otwierać!

Żołniasiewicz porwał walizeczkę, zatrzasnął kasę, w ciemnej sypialni zaplątał się w portierze, przy czym spadły mu okulary. Całą nadzieję pokładał w tym, że grube dębowe drzwi gabinetu zabiorą napastnikom dużo czasu. W sionce odsunął rygle, nacisnął klamkę i tuż przed nosem ujrzał lufę rewolweru. Chciał krzyknąć, lecz ze strachu nie mógł wydobyć z siebie głosu, tylko automatycznie podniósł ręce, upuszczając walizkę, która koziółkując po schodach, zsunęła się na ziemię.

Ciemna postać ociekająca deszczem i w czarnej masce na twarzy, nie spuszcżając rewolweru, warknęła:

– Masz szczęście... Uciekaj...

Żołniasiewicz zawahał się. Nagle wewnątrz willi rozległy się przytłumione strzały.

– Prędszej – zaryczał człowiek w masce i jakby ze złością pchnął go lufą w piersi. Żołniasiewicz jęknął z przerażenia i skoczył w bok, wyrzucił się twarzą w mokrą trawę, poderwał się i mknął przez ogród ku tylnej furtce, gubiąc po drodze nocne pantofle i kłapiąc zębami ze strachu i z zimna. Biegł coraz szybciej, wytężając resztki sił, gdyż najwyraźniej słyszał, że ktoś pędzi za nim.

Rozmyślił się – przemknęło mu przez głowę – i chce mnie zabić.

Na szczęście dopadł furtki wychodzącej na ulicę Morską. Udało mu się namacać i odciągnąć ciężką zasuwę, wypadł, skręcił w prawo, usłyszał jeszcze za sobą powtórne klapnięcie furtki i szybkie kroki oddalające się w przeciwnym kierunku. Wówczas odzyskał przytomność i chociaż nie zwolnił biegu, zaczął krzyczeć rozdzierającym głosem:

– Bandyci! Ratunku! Bandyci!...

Ale pusto tu było i tak cicho, że jego wrzask dobiegł nawet do uszu człowieka uciekającego w przeciwną stronę. Ten przyspieszył kroku, zwolnił dopiero przy końcu, a raczej przy zakręcie ulicy. Tu

już były latarnie. Po obu stronach ciągnęły się wysokie drewniane parkany. Zawrócił w pierwszą poprzeczną uliczkę na lewo, przebiegł kilkaset metrów, skręcił w prawo i znalazł się w pustym polu. Nogi grzęzły po kostki w rozmiękłym gruncie kartofliska, od południa ciągnęła cuchnąca woń.

Zwalone glinianki – skonstatował.

Wiedział już teraz, gdzie jest. Jeszcze kilkaset kroków i zatrzymał się na zboczu olbrzymiego zypiska śmieci. Dopiero teraz zauważył, że wciąż w prawej ręce zaciska kołty rewolweru, a w lewej trzyma walizkę, porzuconą przez tamtego w willi.

Po co ja ją wziąłem? – zdziwił się i już zamachnął się, by cisnąć walizkę do glinianki, gdy opamiętał się. – Jest lekka, nie utonie i będzie pływała powietrzu. Jawny ślad dla policji, że wtedy uciekałem.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zakopać jej w śmieciach, gdy olśniła go myśl:

Tam mogą być pieniądze!

Przecież tylko po to poszedł na tę wyprawę, tylko dlatego zdecydował się zostać bandytą. Przecenił swoją odwagę. Nie, nie odwagę, lecz nerwy. Nie mógł strzelić. Pierwszy raz w życiu widział tego łysogo faceta, pewno właściciela willi. Nic go ten burzuj nie obchodził. A jednak nie mógł strzelić. Puścił go żywcem, drań narobi alarmu. Zepsuł cały plan, całą wyprawę. Czy tamci zdołają uciec?... Piekutowski może, bo pilnował od kuchni, ale Czarny Kazik i Majster mieli robotę w środku. Teraz pewno już tam jest policja.

Jeżeli ich złapią – pomyślał – to sypną mnie, jak amen w pacierzu. Po pierwsze zechcą się zemścić, że im nawaliłem, a po drugie, cóż ja ich obchodzę. Taki Czarny Kazik widział mnie pierwszy raz w życiu, a Piekutowski i Majster tyle o mnie dbają, co o zeszłoroczny śnieg.

Nie uważali nawet za potrzebne wtajemniczyć go we wszystkie szczegóły. Wiedział tyle, że w willi tego Czabana obłowią się, że druty elektryczne i telefoniczne będą przecięte, że w domu będzie

tylko jeden mężczyzna i cztery kobiety, bo z drugim mężczyzną, z ogrodnikiem, miał się już wcześniej załatwić Piekutowski. A jemu? Jemu kazali pilnować przy małych drzwiach i zastrzelić każdego, kto by tamtędy próbował uciekać. Do odwrotu miał być gwizdek.

Gwizdka nie słyszałem – skonstatował – ale strzelali! Musieli tam pozabijać te baby, bo facetowi ja dałem zwać.

Rozejrzał się i postanowił obejść miasto, by polami wyjść aż do Wisły, a stamtąd do Czerniakowa. W Czerniakowie nikt nie będzie łapał bandytów ze Skolimowskiej, a poza tym miał tam już od dawna swoją doskonałą kryjówkę na tyłach posesji, gdzie był skład drewna. Tam w fundamentach po spalonym domku znalazł kiedyś doskonały schowek, w którym postanowił ukryć zdobytą przypadkowo walizeczkę.

Do Wisły jednak był kawał drogi, a że dla ostrożności należało kluczyć, stracił dobre dwie godziny, nim dotarł na miejsce. Wypłukał w rzece buty i mankiety spodni, po czym wyłamał nożem zamki w walizeczce, wsunął się z nią pod stare czółno, wywrócone na brzegu do góry dnem, i zapalił zapałkę.

Ucieszył się i zmartwił się jednocześnie: wewnątrz były różne akcje i obligacje, całe paczki weksli i tylko niewiele ponad dwa tysiące gotówki w stułotowych banknotach. Rozumiał doskonale, że reszta poza gotówką nie przedstawia dlań żadnej wartości. Oczywiście ów Czaban ogłosi zastrzeżenie i każdego, kto z tym przyjdzie do któregośkolwiek banku czy kantoru wymiany, od razu przymkną. Może kiedyś, po latach da się to spieniężyć, ale on przecież chciał wyjechać zaraz za granicę.

– Właściwie dlatego tylko zdecydowałem się pójść na rabunek – mruknął do siebie i zastanowił się.

Czy rzeczywiście dlatego?... Tak wiele złożyło się na to przyczyn. Więc co?... Czy Arletka, kochanka Czarnego Kazika?... Czy chęć wyjazdu z nią i beztroskiego życia?... Czy pragnienie odbicia

się za dwuletnią straszliwą nędzę?... Czy chęć zemsty na tych, co opływają w dostatkach, na burżujach?... W myśl zasady bolszewickiej: rabuj zrabowane?... Czy chciał tym przypieczętować utratę już wszelkiej wiary, wszelkich ideałów, wszelkiego szacunku dla tak zwanych bliźnich, dla burżujów zarówno, jak i dla proletariatusy?... I dla samego siebie?

Tak! Chciał jednym zamachem, jednym targnięciem wydrzeć z siebie tę jadowitą narośl, to sumienie! Chciał raz na zawsze zatrzaskać za sobą drzwi, by nie było odwrotu! Jednym cięciem odrąbać wszystko, co łączyło go z dawnym światem, i rozpocząć nowe życie. Drugie życie!

Jeżeli zdecydował się na rabunek, na morderstwo, to tylko dlatego, że musiał sam siebie przekonać, że potrafi przejść na drugi brzeg, że potrafi spalić mosty, że może zostać łotrem; że nie powlecze się za nim jak kula u nogi ta etyka, która ściągała go w dół; że skoro tamto życie, życie człowieka uczciwego stało się dlań niepodobieństwem, bezmyślną wegetacją na ruinach, niegodną jednego dnia, jednej godziny, zdoła odnaleźć sens i cel drugiego życia! Że zdoła skoczyć przed siebie równymi nogami i nie zachwiać się!

Postawił wszystko na kartę, na ślepo skoczył w przyszłość, gdyż bał się wejść w nią wolno. Bał się tego, że się cofnie. Wystawił się tedy na najostrzejszą próbę.

– I przegrałem – stwierdził głośno.

Nie mógł nacisnąć cyngla, nie mógł zabić. Próba zawiodła.

– Bandytą być nie potrafię...

I nagle zastanowił się: a czymże jest teraz, w tej chwili? Nie to ważne, iż jest w posiadaniu cudzych pieniędzy, nie to ważne, że z punktu widzenia prawa i społeczeństwa stał się zbrodniarzem, lecz tylko to, że nic sobie nie ma do wyrzucenia, chyba ową słabość w chwili, gdy należało nacisnąć cyngiel. To ważne, że nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia, że – przyłapał siebie na tej myśli – nawet współników, z którymi dokonał napadu, zamierza oszukać

i całą zdobycz zachować dla siebie. Nie przez chciwość, lecz po prostu dlatego, że uważa ich za taki sam obiekt do obłupienia, jak i owego właściciela willi.

Zaśmiał się głośno, a jego śmiech zabrzmiał głucho w pustym pudle wywróconej łodzi.

– Jestem wolny – powiedział jeszcze kilka razy – jestem wolny.

Wsluchiwał się w swój głos z zaciekawieniem, jakby słuchał kogoś obcego i nieznanego.

Potem wyczołgał się, zamknął walizkę, wsunawszy najpierw gotówkę do kieszeni, i odszukał w pobliżu fundamenty po spalonym domu. Na dole w kącie odgarnął gruzy, znalazł drzwiczki pieca, który kiedyś zapewne ogrzewał suterynę, i wsunął do środka walizkę. W schowku tym już miał jeden skarb, ukryty tu niedawno. Była to koperta z bardzo cennymi dokumentami szpiegowskimi. Wysłany przez egzekutywę Partii Komunistycznej na prowincję, miał te papiery przywieźć i oddać. Przywłaszczył je, jednak nie dla zysku. Przecie sam nie wiedział właściwie, co z nimi zrobić. Nie oddał ich towarzyszowi Bigelsteinowi ani innym z C. K. W., bo przestał w nich wierzyć. Był najlojalniejszym komunistą, póki nie przekonał się, iż góra partii to dranie i pasożyty nie lepsze od kapitalistycznych łajdaków. Że szeregowi członkowie partii są stadem owiec, tumanionych ideałami komunistycznymi, a przywódcy robią majątki na szpiegostwie i na kradzieży grosza partyjnego. Dlatego nie oddał tej koperty, chociaż wiedział, że naraża się na podejrzenia. W duchu gardził dziś tak samo proletariatem, jak i burżujami, nienawidził tak samo państwa, jak i komunizmu. Nienawidził ludzi. Jedni wydarli mu chleb i dach nad głową, inni pozbawili go wiary w moralny sens życia, zapluli jego ideały, patriotyzm, poczucie sprawiedliwości, miłość i ojcostwo, ukochanie biedaków, chęć poświęcenia się – wszystko.

To oni, oni zniszczyli go, wdeptali w błoto, wyzuli z tego, w co wierzył, co czcił i co kochał. Zrobili zeń swego wroga. Zapędzili

w matnię, jak dzikie zwierzę, by tu poznało, że ma kły i pazury. I zwierzę poznało, że jest drapieżnikiem...

Dniało już, gdy doszedł do Śródmieścia. Ulice były puste, deszcz nie przestawał padać. Ubranie przemokło do nitki. O powrocie do mieszkania na Solcu nie mogło być mowy. Jeżeli tamtych nakryli w willi Czabana, mieszkanie pani Koziółkowej już jest obstawione policją. Jeżeli Czarny Kazik, Piekutowski i Majster zdołali zbiec i zatrzeć ślady, to sami natrafią nań teraz. Dostanie kulą w łeb lub nożem w plecy, zanim zdąży słowo na swoje usprawiedliwienie powiedzieć. Wprawdzie nie mają żadnych dowodów przeciw niemu. Nie wiedzą nic o walizce ani o tym, że pozwolił uciec owemu łysemu. Jednak już samo to, że nie wytrwał przy drzwiach, że przez to zepsuł im całą robotę, wystarczy takim ludziom jako uzasadnienie zemsty. Zresztą pewno o wszystkim dowiedzą się z gazet.

I ja się dowiem – zakonkludował – a wtedy będzie czas pomyśleć, co robić dalej.

Na razie miał tylko jedną i to wcale wygodną kryjówkę: partię. Władze partyjne wprawdzie nie darzą go obecnie przesadną życzliwością, ale wśród szeregowych członków nikt nic nie wie i wiedzieć nie może o tym, że góra ma doń pretensje za niedostarczenie owej szpiegowskiej paczki planów. Znają go jako jednego z wybitniejszych komunistów, towarzysza Garbatego. I każdy udzieli mu schronienia. Po krótkim wahaniu zdecydował się na towarzysza Kuzyka, który miał swój warsztat stolarski przy mieszkaniu, a w warsztacie telefon. Sam nieraz posyłał Kuzykowi do ukrycia różnych ludzi, którzy na kilka dni czy tygodni musieli zniknąć z oczu policji. Wygoda u niego była tym większa, że i stróż tej kamienicy należał do partii, a bezpieczeństwo tym pewniejsze, że Kuzyk, z polecenia zwierzchności partyjnej, wstąpił do „Strzelca”, organizacji mocno popieranej przez państwowe władze bezpieczeństwa, dzięki czemu nikt go nie podejrzał.

Jeszcze jednym plusem Kuzyka było to, że nie mając żadnego

kontaktu ani z „Propagitem”, ani z Komitetem Wola 2, ani z tamtymi ludźmi, nie mógł znać prawdziwego nazwiska Garbatego. Jeśliby zatem policja ujęła Czarnego Kazika i Piekutowskiego, a tamci sypnęli Murka i jego nazwisko ukazałoby się w dziennikach, Kuzykowi przez myśl nie przeszłoby, iż ukrywany przezeń towarzysz partyjny jest owym bandytą Murkiem. Zanim zaś egzekutywa poda to do wiadomości członków, starczy czasu, by zwać.

Kuzyk istotnie przyjął Murka bez cienia podejrzliwości. Nie pytał o nic, kazał żonie posłać gościowi łóżko w małej komórcie za warsztatem i sam mu przyniósł jedzenie.

– Wpadli na mój ślad i depczą mi po piętach – uważał za stosowne wyjaśnić Murek. – Nie zrobię wam wielkiego kłopotu, towarzyszu?

– Nie ma o czym gadać, towarzyszu Garbaty – odpowiedział stolarz.

– O wydatki nie bójcie się, pokryję.

– Obejdzie się, towarzyszu Garbaty. I tak to zaszczyt dla mnie, żeście do mnie przyszli. Mam dla siebie, starczy dla was. Może chcecie ogolić się?

Murek dotknął ręką podbródka.

– Nie, lepiej zapuścić.

– Lepiej – przyznał Kuzyk – szpicle wprawdzie mają ostre oczy, ale zawsze lepiej. Czy może trzeba zawiadomić kogo, że tu jesteście?

– O nie! Nikogo. Kogo trzeba było, już sam poinformowałem. A czy wasi czeladnicy tu nie zajrzą, do komórki?

– Nie. Nie mają tu żadnego interesu. Zresztą to pewni ludzie, sami swoi.

– To teraz się prześpię – ziewnął Murek – całą noc kluczyłem.

Zasnął natychmiast i chociaż wkrótce w stolarni zaczęła się praca, świzzczały heble, warczały piły, stukwały młotki, nie obudził się, aż grubo po południu. Żona Kuzyka odgrzała mu obiad: kluski kartoflane na mleku i gryczaną kaszę ze skwarkami. Sama usiadła

i przyglądała się z upodobaniem apetytowi Murka.

– Kasza pewno wyschła? – zapytała troskliwie.

– Gdzie tam. Od dawna takiej nie jadłem. A która to może być godzina?

– Może być i ósma – zaśmiała się – ale jest dopiero czwarta.

– A coś w warsztacie tak cicho?

– Sobota, fajrant.

– A mąż?

Wzruszyła ramionami.

– Wiadomo, fajrant. Poszedł chlać. Taka już nasza kobieca dola. W tygodniu to robota, w niedzielę to już leci na wiec czy na zebranie, a fajrant – chla po knajpach. Tylko ja muszę ciągle siedzieć w domu.

– Cóż – perswazyjnie powiedział Murek – taki porządek. Mężczyzna musi zarobić na chleb, ma swoje obowiązki polityczne, no, i rozrywka mu przecież, raz na tydzień, przy sobocie, należy się.

– A mnie nic nie należy się?... Po cóż się ze mną żenił, skoro go nigdy na oczy nie widzę?

Murek uśmiechnął się.

– No bo w nocy ciemno.

– My już dziesięć lat ze sobą żyjem – machnęła ręką – to i ta noc żadna atrakcja.

Spojrzał na nią uważniej. Była brzydka, chuda i koścista, a w dodatku, chociaż blondynka, skórę na łydkach i rękach, aż do łokcia, miała mocno owłosioną. Na górnej wardze zaznaczały się wyraźne wąsiki, a pod dolną rzadziutka, jakby hiszpańska, bródka. Ruchy miała żywe, zręczne, drażniące, spojrzenie zaczepne, uśmiech miły.

– To pani nudzi się – zagadnął.

– A pewno.

– Żeby pani należała do partii, to byście razem, z mężem, tam pracowali.

– Po co mi to? Bo to ja mało mam roboty w domu? A nudno, bo nie ma do kogo przemówić. Ot, dziś pan jest, to już tu siedzę

i panu głowę zawracam.

– Cała przyjemność po mojej stronie – skłonił się z kurtuazją – a czy... czy mąż nie boi się zostawić tak żonę z obcym człowiekiem?

– Albo pan mnie zje? – Zaśmiała się z wyraźną kokieterią.

– Zjeść, nie zjem, ale ja bym na miejscu paninego męża nie ryzykował.

– On – zaśmiała się – mówił, że pan jest bardzo poważny człowiek. Zaprosiłbym go, powiada, na jednego „Pod Łabędzia”, ale on nie taki. Solidny, powiada, nietrunkowy. Czy pan naprawdę jest ważną figurą w partii?

– Zależy, co kto uważa za ważność – odpowiedział wymijająco.

– A pan kawaler?

– Kawaler.

– Najlepszy stan – westchnęła – a może panu co potrzeba?

– Owszem. Jeżeli pani będzie wychodzić na ulicę, to poproszę kupić mi kilka dzienników.

– Dlaczego nie mam wyjść. Tylko, niech pan powie, jakie?

Podał jej tytuły, wręczył złotówkę i czekał. Słyszał przez cienką ścianę, jak podśpiewywała sobie mocnym ostrym głosem, zabierając się do wyjścia.

Baba oczywiście ma ochotę na wykorzystanie okazji – myślał. – Pewno z każdym partyjnym, który tu się ukrywa. Cóż, prawdziwa żona komunisty. Wspólna własność, psiakrew. A ten mąż, idiota, jest przekonany, że nikt go nie okradnie. Solidny towarzysz!... On takiemu solidnemu towarzyszowi daje schronienie, naraża się dla niego, karmi go, a ten używa mu jego żony. Oto moralność ludzka!... Świństwo.

I nagle zapytał siebie:

– Po co mam być lepszy? Świństwo?... To i dobrze, że świństwo. Właśnie tak! On dla mnie wszystko i zaufanie, i przytułek, i jedzenie i szacunek, a ja za jego plecami najgorszą krzywdę mu zrobię. Nie

bądź, durniu, frajerem.

Zerwał się i zaczął chodzić po komórcę.

– Trzeba być konsekwentnym. Nie mogłem żyć jak człowiek. To będę żyć jak świnia.

Gdy jednak Kuzykowa przyniosła gazety, nie zdobył się na żaden agresywny gest.

– Dziękuję pani – powiedział, nie patrząc na nią i zabrał się do czytania.

Ona postąpiła chwilkę i wyszła.

W dziennikach z łatwością odnalazł obszernie wzmianki o napadzie bandyckim na willę plenipotentą książąt Zasławskich, dyrektora Czabana. Dowiedział się, że – to było najważniejsze – sprawców nie ujęto. Odetchnął z ulgą. „Spłoszeni bandyci, w liczbie sześciu, zdolali zbiec”. Poza mylnie podaną liczbą napastników były inne nieścisłości. Były jednak i rzeczy nowe. Nie wiedział na przykład o tym, że „bandyci uprzednio przecięli przewody elektryczne i telefoniczne i do telefonicznego kabla przyłączyli własny przenośny aparat, znaleziony przez policję na sąsiedniej, pustej posesji”.

To musiała być robota Piekutowskiego, który znał się na elektrotechnice. On też zapewne udusił stróża Malceraka, którego zwłoki znaleziono w krzakach, przy kuchni. Dowiedział się też Murek, że ów łysy nie był Czabanem, lecz jego szwagrem, a napad odbył się „pod nieobecność właściciela willi, który w związku ze swymi rozgałęzionymi interesami handlowymi bawił poza Warszawą”.

Czarny Kazik, Majster i Piekutowski nie wyszli z pustymi rękoma, gdyż – jak podawały pisma – bandyci zrabowali nie tylko walizkę z papierami wartościowymi i weksłami na przeszło dwieście tysięcy, lecz i biżuterię wartości około czterdziestu tysięcy złotych...

W każdym razie – zastanowił się Murek – tamci wiedzą, że walizkę ja mam. Mogę wprowadzić bujać ich, że o niczym nic nie wiem, że to niby łysy szwagier pewno zwędził walizkę, że ja go na oczy

nie widziałem, a on tylko zawala tak, by skorzystać z okazji napadu i szwagra ocyganić. Mogę im powiedzieć, że zviałem wcześniej, bom miał pietra. I cóż dziwnego? Pierwszy raz w życiu szedłem na taką rzecz. Ich wina. Nie zapraszałem się. Sami mnie wciągnęli.

Czuł jednak, że takich cwaniaków nie uda się nabrać i wykiwać. Choćby nawet zaczęli wątpić, to i tak, dla wszelkiej pewności, wyprowadzę go na tamten świat. Dlatego musiał ich unikać jak zarazy. Nie czuł strachu, ale w razie walki miałby mniejsze szanse od każdego z nich. Postanowił tedy zostawić na przepadłe swoje rzeczy u Koziółkowej. Nie przedstawiały one zresztą żadnej poważniejszej wartości. Dokumenty zaś, na szczęście, miał przy sobie.

W całej sprawie była jedna rzecz pocieszająca: przez całą noc lał deszcz i ślady zmył tak, że nawet psy policyjne nie mogły ich odnaleźć. Jeżeli zatem policja w inny sposób nie dotrze do mieszkania Koziółkowej, mógł się przed policją przynajmniej czuć o tyle o ile bezpieczny.

Za wcześniej było jeszcze na powzięcie jakiegokolwiek decyzji, Przede wszystkim należało porozumieć się z Arletką. Przewidując to, Murek z rozmysłem zainstalował się u Kuzyka, bo był tu telefon. Cokolwiek bowiem Arletka mówiła, byłby lekkomyślny, gdyby polegał na jej zapewnieniach. Nie ufał jej tak, jak nie ufał nikomu. Zarówno swoim zachowaniem się, jak i słowami, Arletka chciała go przekonać, że się w nim kocha. Całe wciągnięcie Murka do bandy było właściwie jej dziełem. Spędziła z nim nawet kilka godzin w łóżku. Skądże jednak mógł wiedzieć, czy nie było to ukartowane między nią a jej kochankiem. Twierdziła, że nienawidzi Czarnego Kazika, ale czy można wierzyć takiej fordanserce z nocnego lokalu?...

Toteż Murek ułożył sobie, że nie zdradzi Arletce swojej kryjówki. Zatelefonuje wieczorem do Dancing-Clubu i wypyta o wszystko. A wtedy zobaczy, co dalej.

Na razie wszakże własne położenie wydało się Murkowi lepsze, niż sądził przed przeczytaniem gazet. Wątpił, by Czarny Kazik i jego